№ 17. Warszawa, dnia 13 (25) Kwietnia 1888 r. Rok XXIV.

PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie.
We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych po cenie rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.
Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:
Kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5, rocznie rsr. 10.

Wydawca **MICHAŁ GLÜCKSBERG.**
EXPEDYCYA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY
Ulica Królewska Nr. 5.

W Cesarstwie Austryackiem we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 8.0
W Krakowie: u D. E. Friedleina, kwartal. flor. 2 cent. 75 na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.
W W. Ks. Poznańskiem: u Leitgebera i Spół., kwartal. 5 marek

ŻYCIE I PRACA

przez

Samuela Smiles'a.

(Dalszy ciąg).

Haendel w dziesiątym roku skomponował całą seryą sonat. Ojciec, doktor prawa, pragnął dla niego zawodu prawnika i nie chcąc przeszkody, którąby tu wnosiła sztuka, zakazał mu muzyki i wskutek tego nie oddał go do szkoły publicznej, bo tam uczonoby go śpiewu chóralnego. Ale chłopiec nie mógł już wyrzec się tego, co w nim było namiętnością artysty, znalazł sobie możność nabycia głuchego szpinetu, umieścił go na strychu domu i grywał na nim całe noce, a miał wtedy lat dwanaście.

Książę Sasko - Weissenfeldzki dowiedział się o tej walce, w której natchnienie dziecka walczyło uparcie z despotyzmem ojca, wstawił się za geniuszem, który chciano spętać i protekcya ta rozwiązała krępujące powijaki. W czternastym roku życia Haendel wystąpił z grą swoją publicznie, w szesnastym podłożył muzykę pod dramat *Almeria*, w następnym roku stworzył *Florindę* i *Nerona*. W dwudziestym pierwszym roku, przebywając we Florencyi dla studyów muzycznych, napisał pierwszą swą operę *Rodrigo*, a w dwudziestym szóstym wystawił w Londynie sławną już w świecie muzykalnym operę *Rinaldo*. I tworzył bez ustanku, opery, oratoria, ale najwyższe, najszlachetniejsze jego dzieła są płodami starości, stworzonemi między pięćdziesiątym czwartym a sześćdziesiątym siódmym rokiem życia. Nieśmiertelne jego oratoryom: *Messyasz* było napisane w przeciągu dwudziestu trzech dni, w pięćdziesiątym dziewiątym roku.

Przedwczesne tworzenie nie wyczerpało w nim zasobów artyzmu i nawet starość jego zachowała w czerstwości siłę swą twórczą.

Haydn był podobnie silnej organizacyi twórczej. Zaczął tworzyć też bardzo wcześnie, i to rzeczy już poważne. W trzynastym roku napisał mszę, posiadającą przymioty wyższej kompozycyi, przecież najgenialniejsze jego dzieła są owocem lat późnych, bo pochodzą wszystkie z siódmego już krzyżyka. Największe jego arcydzieło: *Stworzenie*, było pomyślanem i napisanem w sześćdziesiątym ósmym roku.

Jan Sebastyan Bach doświadczał, podobnie jak Haendel, ciężkich przeszkód na drodze swoich lat młodych. Brat jego starszy: Jan Chrystofor, zazdrościł mu talentu i utrudniał naukę; raz schował przed nim tom nut, które studyował, a które stanowiły zbiór najlepszych kompozyi na harfę. Przecież Sebastyan znalazł swoję zgubę w kredensie, zwykle pilnie zamykanym przez brata i szybko uniósł pożądany skarb do swego pokoju, zabrał się zaraz w nocy do przepisywania nut, co dokonywać musiał wśród nocy i bez innego światła nad księżyc, a potem blask gwiazd wypogodzonej nocy letniej. Lecz dziki zazdrośnik odkrył raz tajemnicę tej wzruszającej roboty, zabrał okrutnie nietylko oryginał, ale i kopią, z takim wysiłkiem dokonywaną. Nie zatamowało to przecież drogi, którą młodzieniec pragnął dążyć. Sebestyan Bach został w ośmnastym roku życia nadwornym kapelmistrzem księcia Weimarskiego i od tej chwili jego twórczość, równie jak sława, rosła szybko. W grze na organach miał jednego tylko współzawodnika: Haendla.

Najwięcej zadziwiającem zjawiskiem cudownej intuicyi muzycznej był Mozart. W czwartym roku, więc pierwej niżeli umiał pisać nuty, już komponował. Mając lat sześć stworzył koncert na fortepian; w dwunastym roku skomponował operę: *La Finte Simplice* i wtedy już trudno było znaleźć równego mu w grze na harfie. Pierwsi professorowie i mistrze muzyki stali zadumieni wobec chłopca, który na zadany temat improwizował fugę, a w chwilę potem jeździł na lasce ojca w koło stołu. Był bardzo wesoły, kiedy był zdrów, ale organizm miał bardzo delikatny, a ojciec wycieńczał go przedwczesnem podniecaniem geniuszu, który spiewał w jego piersi. Dziecko było bardzo lękliwe, a on zrobił z niego przedmiot wystawy i obwoził po Europie. W bronzowym spencerku, axamitnych spodeńkach, w trzewikach ze sprzączkami i długich włosach, które bujnie spadały mu na plecy, prezentował go, gdzie się tylko dało, popisywał się nim i zarabiał ogromnie na tych popisach, które, na szczęście, nie zabiły w genialnem dziecku szlachetnego natchnienia i twórczości. Opera jego *Mitrydat*, skomponowana i napisana w czternastym roku życia, miała dwadzieścia przedstawień w trzy lata potem stworzona *Lucia Silla* dwadzieścia sześć, następujących po sobie bez przerwy.

Okres wielkich jego dzieł rozpoczyna się przecież dopiero z dwudziestym piątym rokiem. Wtedy to napisał operę: *Idomeneo*. *Figaro* utworzony został w trzydziestym, *Don Giovanni*, w trzydziestym pierwszym, *Clemenza di Tito* i *Flet zaczarowany*, w trzydziestym piątym, *Requiem* w trzydziestym szóstym roku życia. Pisał je już, niestety! na śmiertelnem łożu. Umarł w 1792 r., z wysilenia, z podniecającej, nadmiernie wyczerpującej i nieregularnie prowadzonej pracy. Umierając był tak ubogim, że ledwie było go za co pochować.

Beethoven nie miał, naturalnie, tak cudownie wczesnego rozbudzenia muzykalnego geniuszu. Ojciec jedynie pragnął tego i dokonał do pewnego stopnia, bo w trzynastym roku już występował publicznie i utworzył trzy sonaty, ale było to wymożone na nim i pozostało jakgdyby

ćwiczeniami edukacyjnemi. Dopiero mając lat dwadzieścia jeden, zaczął tworzyć te wielkie dzieła swoje, które dały mu nieśmiertelność. Przecież wogóle wszyscy wielcy muzycy niemieccy okazali bardzo wczesne rozbudzenie się poczucia muzyki i twórczości. Weber, choć, jako chłopiec był zamkniętym w sobie, okazywał wcześnie zadziwiające zdolności. Jego pierwszych sześć fug zostało wydanych, gdy miał zaledwie lat jedenaście. Pierwsza jego opera: *Das Waldmädchen* była grana w Wiedniu i w Pradze, gdy kompozytor miał lat czternaście; tworzył wciąż msze, sonaty, pieśni, lecz sławę jego ustaliła dopiero opera: *Wolny Strzelec*, napisana w trzydziestym szóstym roku.

Mendelssohn rwał się do grania, ledwo, że zacząwszy chodzić, i zaczął też tworzyć w jedynastym roku. Pierwszą operę napisał w szesnastym roku; przecież dzieła, które się stały jego chwałą, były pisane między dwudziestym i trzydziestym ósmym rokiem życia, w którym to życie się skończyło. Mayerbeer w dziewiętnastym roku był doskonałym pianistą i tworzyć zaczął w dziesiątym. Pierwszy jego utwór dramatyczny: *Córka Jeftego* była przedstawiona w Monachium, gdy miał lat ośmnaście, ale opera *Robert Dyabeł*, przez którą stanął w rzędzie wielkich kompozytorów świata, była stworzona w trzydziestym siódmym.

Franciszek Schubert dzieckiem grał na skrzypcach, na fortepianie, na organach. W ośmnastym roku napisał swoję niezmiernie popularną piosenkę do słów Goethego: *Erl-König* (Król olch. Gdy dostał text do ręki, przeczytał go dwa razy i siadł natychmiast, aby stworzyć muzykę. I on umarł młodo: w trzydziestym pierwszym roku. Stworzył przeszło pięćset pieśni, wiele mszy, sonat, symfonii, oper, przecież umierał prawie w nędzy.

Że geniusz muzyk przychodzi wcześnie nawiedzać dusze ludzkie dowodzi to, że prócz Niemców kompozytorowie włoscy i francuzcy, podobnie zaczynali tworzyć bardzo młodo. Spontini napisał w siedmnastym roku operę, która odrazu zyskała sobie wielkie powodzenie w całych Włoszech i odrazu uczyniła go sławnym: „I Pantigli della Donna.“ Cherubini w trzynastym roku skomponował mszę, która żywo zajęła jego miasto rodzinne, Florencyą, i usłała mu drogę przyszłości. Paisiello, zaczął pisać dla teatru w czernastym roku, a w dwudziestym drugim teatr opery w Bolonii zamówił u niego operę. Cimarosa, syn ubogiego szewca partacza, w dziewiętnastym roku zaczął tworzyć opery. Paganini grał na skrzypcach zachwycająco w ósmym roku i w tymsamym czasie napisał sonatę, w której znać już było wyższe natchnienie. Ojciec Rossiniego grał na trąbce w orkiestrze jakiegoś wędrownego teatru, w którym żona jego była śpiewaczką i aktorką; w dziesiątym roku syn stanął obok ojca, jako druga trąbka, w ośmnastym napisał pierwszą operę: *Cambiale di Matrimonio*, w dwudziestym *Tankreda*, który uczynił go sławnym w całej Europie.

Francuzcy kompozytorowie: Boïeldieu, Gretry, Halévy, niemniej wcześnie zaczynali tworzyć. Boïeldieu napisał operę w ośmnastym roku wprawdzie jednoaktową, ale już pełną wyższych piękności. Smiles przyznaje, że Anglia nie wydała wcale muzyków wyższego znaczenia, ale i ci, których miała, podobnie czuli muzykę i tworzyli bardzo wcześnie.

Smiles czyni tu uwagę, że za to wielcy muzycy umierali młodo, a twórczość ich wyczerpywała się wcześnie. Choć Haendel i Rossini dożyli późnej starości, była już ona bezowocną dla sztuki. Rossini napisał Wilhelma Tella w trzydziestym siódmym roku, i potem tworzył już mało. Ostatniem jego dziełem było sławne „Stabat Mater.“ Pisał je pięćdziesięcioletni i zakończył na tem. Umiał przestać, gdy czuł, że natchnienie już go opuszcza.

Do cudownych dzieci obecnej epoki zaliczyć trzeba naszego Józia Hoffmana i jedenastoletniego Niemczyka, Ottona Hegnera, który 22 Marca grał w Londynie w wielkiej sali koncertowej *Princess Hall*, utwory Mendelssohna, Raffa, Rubinsteina, Beethovena, Liszta, Webera, i to wszystko z pamięci, z wielką siłą i poczuciem artystycznem. Znawcy unoszą się i zapowiadają wielkiego muzyka.

Między kobietami nie było wczesnego przebudzenia się muzykalnego ducha, bo też nie było i żadnego niewieściego geniuszu w muzyce. Na sto dziewcząt uczących się grać wypada zaledwo jeden chłopiec; kobiety nie spotykają też pod względem rozwoju swych zdolności muzycznych przeszkód, które zagradzają drogę mężczyzny, ale duch tchnie, gdzie chce. Geniusz muzyki może dlatego zstępuje wyłącznie w pierś mężką, że mocniejsza. Ogień jego i tak zabija młodo.

To, co Smiles pisze następnie o rozbudzaniu się twórczości w sztukach plastycznych, przedstawia tosamo zjawisko duchowe, które objawia się w muzyce: geniusze i wielkie talenta dają znać o sobie wcześnie, bo samodzielne są i czerpią natchnienie z siebie, z ogniska własnego ducha. Michał Anioł, ten olbrzym sztuki, już uczuwał pragnienia twórcze, w tak wczesnem dzieciństwie, że dziecko, przebywające jeszcze w domu mamki swojej, żony wiejskiego kamieniarza, już pokrywało ściany rysunkami, które stanowiły jego najpierwszą i najmilszą zabawę i to zapewne miał on na myśli pisząc potem, że miłość sztuki swojej wyssał z mlekiem mamki. Za powrotem do domu rodzicielskiego, do Florencyi, rysował podobnie po posadzce, bo wyobraźnia już pracowała i pragnęła uwidomiać sobie postacie tych pierwszych marzeń twórczych. W szkole nie należał do zbyt dobrych uczniów, bo nie pociągała go książka, lecz ołówek, i wszystek czas wolny, który mógł odkraść nauce, spędzał w pracowniach malarzy. Ale pochodził z rodu starej i dumnej szlachty, ojciec nie chciał dla niego zawodu sztukmistrza, nieopromienionego jeszcze w owych czasach tym blaskiem, który miał tworzyć aureolę jego syna. Napominano go, strofowano, wreszcie karano, i to surowo, ale chłopiec uparcie pragnął być artystą i ojciec zwyciężony oddał go na naukę do Ghirlandaja, mającego wtedy we Florencyi sławę najpierwszego malarza. Uczeń wtedy czternastoletni okazał się wkrótce tak pożytecznym współpracownikiem mistrza, że ten płacił mu za pomoc w pracy. Prześcignął on bardzo prędko, nietylko współtowarzyszy nauki, ale dorównał nauczycielowi i przewyższać go zaczynał, gdy widok posągów w ogrodzie Wawrzyńca Medyceusza, objawił mu jego prawdziwe powołanie—rzeźbiarza. I tu postępy były tak szybkie, że w ośmnastym roku wykonał sławną płaskorzeźbę: *Walka Centaurów*, w dwudziestym posąg: *Śpiącego Kupidyna*, a wkrótce potem olbrzymie dzieło z wielkiej sztuki marmuru przepysznie wykute: *Dawida*. W ślad zatem tworzył arcydzieła pendzla i dłuta. Czytelnicy naszego pisma znają szczegółowo historyą tego wielkiego i wszechstronnego geniuszu. W dwudziestym dziewiątym roku narysował sławny swój karton: *Kąpiących się żołnierzy*, o którym Benvenuto Cellini pisze, że nic wyższego nie stworzył, ani przedtem, ani potem.

Rafael rozwinął się również młodo. Ten nie miał przeszkód na drodze swojej. Ojciec dawał zachętę i pomoc wcześnie objawiającemu geniuszowi. W siedmnastym roku już był wielkim i sławnym, a pisze o sobie, że objawienie sztuki zstąpiło na niego w Kaplicy Syxtyńskiej wobec fresków Michała Anioła. Że szczerością i prostotą dusz wielkich dziękował Bogu, że urodził się i żył w tym samym wieku, co wielki twórca fresków w Syxtynie. Rafael wymalował swój nieśmiertelny obraz: *Szkoła Ateńska* w dwudziestym piątym roku życia. *Przemienienie Pańskie*, dzieło ostatnie i nieskończone, bo ręka malująca skostniała mrozem śmierci, było malowane w trzydziestym siódmym roku. Życie było tak krótkie, a jednak wydało dość, aby zapewnić nieśmiertelność.

Leonardo da Vinci, świetny kolorysta, geniusz podobnie uniwersalny, jak Michał Anioł, bo był nietylko wielkim malarzem, ale matematykiem, architektem, inżenierem, muzykiem, tak wcześnie ujawnił mistrzowstwo swe pędzla, że nauczyciel, pod którym się kształcił, Verrocchio, poznawszy co to jest sztuka ożywiona wielkiem natchnieniem, porzucił z rozpaczy swój zawód. Gdy ośmnastoletni Leonardo namalował w jego obrazie *Chrzest Chrystusa*—postać anioła, on złamał pędzel i odrzucił od siebie paletę.

Jest podanie, jakoby Canova w czwartym roku życia wymodelował z masła lwa, którego podziwiano. W czernastym roku już wcielał twory swej wyobraźni w materyał twardszy, i stalszy a rzeźby jego ztego czasu już noszą cechę wielkiej, szlachetnej sztuki. Thorwaldsen, syn snycerza, w czternastym roku rzeźbił z drzewa w pracowni ojca postacie, które szło zdobić fronty okrętów i wielkich łodzi rybackich. W piętnastym roku otrzymał od Akademii Sztuk w Kopenhadze srebrny medal za płaskorzeźbę: *Kupidyn spoczywający*, a w dwudziestym medal złoty za rysunek przedstawiający wypędzenie Heliodora ze świątyni. Vernet rysował w piątym roku z zadziwiającą poprawnością linii i poczuciem perspektywy; w dwudziestym zdobył sławę i doszedł niemal do kresu tego artyzmu, na jaki stać było siłę jego talentu.

(Dalszy ciąg nastąpi).

NA STARYM GRUNCIE.

POWIEŚĆ

Przez

M. Febroniusza.

(Dalszy ciąg).

Wanda wyjechała z domu, który od dzieciństwa uważała za własny, tak jak stała: nie zabierając nic, nic nie unosząc, prócz sukni, która ją okrywała. Koń był jej niegdyś darowany przez stryja, jeszcze źrebiątkiem małem. A i ona była wtedy dziewczynką niedużą, pasła konika swego chlebem, łakotkami, i rósł łaskawy tak, że na głos jej przybiegał, chodził za nią, i jego też zabrała jedynie, uważając za własność swoję, z daru od stryja powstałą. Inaczej byłaby wyszła zpod dachu ciotki pieszo, nie dlatego, aby była zaciętą, ale uważała, że jej tak należy—nic ztąd nie wziąć, ponieważ nic nie wniosła i do niczego prawa nie miała.

Na własność posiadała tylko trochę klejnocików po matce, między któremi była przecież rzecz kosztowna: starożytna spinka sadzona rubinami i perłami ceny wysokiej, widocznie pochodzenia wschodniego. Błyszczała może na zawoju jakiego tureckiego beja i było nawet w rodzinie podanie, że ją zpod Wiednia sobie przywiózł macierzysty jej pradziad, rotmistrz przybocznej chorągwi królewicza Jakóba. Posiadała przytem kilka sztuk starej monety złotej: dwa węgierskie dukaty z Matką Boską, nasz jeden Stanisławowski i kilka talarów saskich Prezes kochał się w numizmatach i zbierał je, zdobywał je, Bóg wie zkąd, a że raz posiadanej zdobyczy już byłby za nic po za ręce nie puścił, więc duplikaty dawał synowicy, która je sobie chowała w piękną, starą też szkatułeczkę po matce prezesa, antyk również z różanego drzewa, z perłowej macicy wysadzaniem. Żartowano z dziewczęcia, że sobie posag tu składa i wyprorokowano: posag to jej był, bo grosz jedyny, za który trzeba jej teraz było kupić sobie coś sukien i bielizny—wyprawę sieroty, wnoszoną w dom narzeczonego, bo tam to—do Rudawicy, jechała biedna tym porankiem czerwcowym, w którym znalazła się nagle tak samotną na świecie, jak ta sierota, o której lud śpiewa, że z litości Najświętszej Panny Ostrobramskiej stała się—kamieniem w szczerem polu! Ścigała tę sierotę pogoń pańska: słyszała już głos dojeżdżaczy, słyszała już blizko, blizko psy, któremi ją tropiono, a nie było nigdzie uchrony, któraby ją zakryła: nigdzie rowu, nigdzie krzaczyny, by się przytulić!—O Matko Boska!—zawoła-

ła nieboga, przypadając z trwogi wielkiej do ziemi. — Matko Boska, ratuj mnie... i stał się cud: sierota stała się kamieniem....

Leży on w pustem polu sam jeden: nie wyrosła przy nim żadna drzewina, żadna krzewina choćby ciernia kolczastego: las daleko, wieś daleko, a on leży środkiem niwy, w koło oborany, ludzie przecież wiedzą, co to za kamień jest: z dziewczyny-sieroty duszą w sobie. Ktoś go kiedyś chciał ztamtąd ruszyć, ale ci, co go podważać przyszli, zobaczyli, że siedzi na nim Matka Boska Ostrobramska, która go pilnuje, i nie ruszyli, tylko dziewczęta śpiewają teraz piosenkę smutną o sierocie skamieniałej:—„Pry łuzie, pry dorozie, pry bitym haścińcu, wietry taj nia wieju, słońca taj nia hreju!“

Wandy nikt nie gonił prócz żalu nad starą, samotną kobietą, która pielęgnowała jej osierocone dzieciństwo, a którą ona rzucała teraz—rzucać musiała! Jej przecież wiatr wiał orzeźwiającą świeżością poranku, słońce zaczynało już grzać, spijając krople rosy z ziół i traw, stojących na miedzach koło drogi w bujnym czerwcowym rozkwicie, a w lesie sosnowym, wśród którego wkrótce się znalazła, balsamiczna woń żywicy napełniała powietrze zdrowym, pokrzepiającym aromatem, i ona odetchnęła całą piersią. Uczucie wolności ma dla każdego stworzenia, dla każdego człowieka urok potężny: podnosi upadłe duchy i czoła schylone. Wanda doznała też tego wpływu przez nieznane dotąd wrażenie. Odnalazła się niejako sama w sobie: istota wolna westchnęła w niej, jak ze snu przebudzona, uczuła się silną i swobodną.

W ten dzień odpustowy, gdy szła wobec patrzącego na nią tłumu całować rękę p. Róży i składała jej śmiało pod wzrokiem wszystkich tych oczu hołd czci i przywiązania córki, zbudziło się w niej raz pierwszy uczucie obowiązku samoistności—potrzeba życia na własny rachunek. Należy się człowiekowi słuchać: należy mu się słuchać wielu głosów, wielu praw i nakazów, ale przychodzą w istnieniu jego chwile, w których tylko sam sobie rozkazywać, sam sobie panować powinien. Zrozumiała to ona wówczas i postawiła krok pierwszy na drodze nowej. Powiedziała sobie, że musi znaleźć ucieczkę jakąś przed despotyzmem ciotki, jeżeli zechce łamać przemocą jej serce i sumienie—powiedziała sobie, że zmuszona przez nią do wiarołomstwa, schroni się pod skrzydła i opiekę p. Róży.

To jej dało nagle ten spokój, który dziwił prezesową, a którego sierota używała z nieznaną jej dotąd rozkoszą—ze słodką pewnością jutra swego. To uciszenie się w sobie wróciło jej tracone już siły: była jak łódeczka, mająca swój port uchrony, dlatego miotające nią fale nie męczyły jej. Chciała przecież spełnić uczciwie swój obowiązek względem ciotki i szła drogą powolnego jej posłuszeństwa, aż do granicy jego ostatniej, i obejmując wczoraj jej nogi, błagała ją szczerze, gorąco, aby nie żądała od niej ofiary, która przechodzi jej siły i obowiązki, lecz nie wysłuchana i odepchnięta podniosła się w zamiarze swym niezachwiana. Nie miała wyboru i musiała spełnić to, co było dla niej koniecznością moralną.

Była pełnoletnią, więc wobec prawa wolną i władną do torowania sobie drogi życia, jaką iść chce, a czuła, że ta, którą obrała, wiedzie na prawo, nie nalewo. Z pałacu, który się dźwigał wyniośle z wysoko usypanego wzgórza, przechodziła do starego, w ziemię już zapadającego się dworu szlacheckiego, ale to nie było dla niej żadną, drogę zagradzającą przeszkodą. Że zaś uboga i nic nie posiadająca szła tam, do ludzi biednych, nie wzurszało jej również, nie czyniło jej niespokojną. Będzie pracować tak, że zarobi na swój kawałek chleba—będzie szła, jak Rut dla Noemi zbierać za żniwiarkami kłosy, porzucone na zagonie i wyżywi się przytem sama.

Myślała to, jadąc drogą między sosnami, których gałęzie wysuwały się naprzód tworząc górą wdzięczną niby oponę. Jechała stępa po zwilżonej rosą ziemi, więc cicho, nie zakłócając żadnym hałasem porannej symfonii lasu, a że właśnie gdzieś ponad drogą, ptaszek nieduży, podobno gil, odśpiewywał solo swoje, ona podniosła głowę i szukając go oczyma wśród zieleni, rzekła z wesołością dziewczęcą:—Prawda, śpiewaczku mały, prawda? Jeżeli ty możesz nachwytać sobie dość muszek, dość ziareczek, aby się wyżywić, to i ja potrafię tosamo!...

Miała już teraz w duszy odwagę i swobodę. Natura cała tchnęła po wypoczynku nocy taką świeżością i pełnią rozbudzającego się z porankiem życia, że wstępowało to i w jej pierś, rugując co tam było jeszcze żalu po przeszłości i lęku przed przyszłością. Stało się to tem łatwiej, że serce i sumienie nie wyrzucało jej nic, bo zrobiła wszystko, co mogła, aby być w zgodzie z tymi wewnętrznymi świadkami człowieka. Jest to przywilejem młodości, że ufa siłom swoim — ufa Oko Boga, które jest ponad światem, i ztąd przygnębić się nie daje okolicznościom. Że nie oglądała się w tył poza siebie, choć tam zostawały dostatki i wszystko to, co za niemi idzie, więc po ukojeniu pierwszych, koniecznych wzruszeń smutnych, serce jej stało się lekkiem i otwartem dla wrażeń miłych i słodkich. Mówiła do ptaszków, patrzyła w głębie leśne, które były pełne świergotu i szmerów, przebudzeń do słońca i życia, do pracy i miłości i ta przyroda, która z jednej strony była też jej matką, zaczęła ją ogarniać i przyciągać na łono swoje, szepcząc łagodnie: — Patrz w ten mój świat... I ty znajdziesz miejsce swoje wśród tego życia, które się pełni do koła... Znajdziesz sobie twoje miejsce pod słońcem, do którego uśmiechnij się, bo ogrzewa...

Ale wkrótce wyjechała na otwarte pole i wśród pustej przestrzeni poczęło ją chwytać smutne uczucie samotności i jakgdyby małości, bezbronności swojej, ale nie dała mu się podbić—rozmarzyć i roztęsknić: rozżalić się nad dolą swą sierocą. — Prędzej siwku, prędzej... — zawołała i gładząc kark konia, wypuściła go kłusem prawie.

Krew w niej rozgrzała się i zaczęła bić do głowy, rozrumieniła się, i piękna, jaśniejąca życiem i młodością, jak ten poranek letni, którego tchnienie ją owiewało, stanęła u wrót rudawickiego dziedzińca. Że szpalery grabowe otaczały go dokoła, więc z drogi nie można było nic widzieć, co tam działo się w głębi, a nie było i nic słychać, bo niedzielna cisza zalegała wszystko naokół. Wanda nie wiedziała też na pewne, która to jest godzina? bo nie miała już swego pięknego, brylancikami kameryzowanego zegareczka, który jej się dostał od ciotki wraz z pierwszą długą suknią dorosłej panny. Nie wzięła go ze sobą, jak nie wzięła nic, co nie było konieczną odzieżą, ale pomiarkowała po słońcu, że już być musi po szóstej.

Spojrzała w głąb dziedzińca i zobaczyła Stanisława, stojącego przed gankiem, a że i on spostrzegł ją jednocześnie, znalazł się więc natychmiast przy wrotach, aby je przed nią otworzyć, a ona zmieszała się nagle. Wśród planów swoich schronienia się do Rudawicy, zapomniała o nim. Nie rozmawiali ze sobą nigdy, lecz te kilka słów, zamienionych, gdy jej pomagał siadać na konia, układ jego cały, a głównie to, co p. Róża mówiła jej o nowym ekonomie, nie pozwalało zaliczyć go do zwykłej służby dworskiej i Wanda zmieszała się nagle na myśl, że ten człowiek obcy znajdzie się teraz obok niej i będzie świadkiem bolesnego dramatu jej życia. Szczególniej pierwsza chwila musiała jej być przykrą. P. Róży mogła jak matce klęknąć przy nogach i powiedzieć: — Jestem tu, bo nie mam się gdzie podziać... Do ręki p. Michała mogła się również schylić i zawołać: — Ojcze! przyjmij mnie i utul bezdomą... Lecz ten ktoś trzeci, ktoś nieznany zmieszał ją, ale serce pięknej dziewczyny było dumnem, bo było czystem, jak z kryształu i nie chciała znosić ani chwili jednej niejasnego położenia. Gdy on, podawszy jej rękę przy zsiadaniu z konia, rzekł, że przy niedzieli jeszcze we dworze nic się nie rusza i on tylko musi robić honory przyjęcia tej jej wczesnej wizyty, ona odpowiedziała mu zaraz, natychmiast, że to nie wizyta jest. — Przybywam tu, aby przygarnięto mnie litościwie, bo domu nie mam—rzekła. Byłby to już od lat wielu mój dom, byłabym tu już od lat wiele jak córka, sędziwym rodzicom w starości ich służąca, ale okoliczności pokrzyżowały to i zmieniły mój los. Teraz też w losu tego chwili ciężkiej przybywam tu, jak do rodziców, o kąt gościnny, o przytulenie litościwe prosząca...

Łzy błysnęły jej nagle w oczach. Nie mogła ich wstrzymać, bo dotknięcie rany zabolało—nie mogła zapanować nad wzruszeniem, ale słabość ta nie trwała dłużej nad jedno okamgnienie. Szybkim ruchem ręki łzę otarła i podniosła żywo głowę:—Chcę pracować, a jestem silna i zdrowa, więc wiem, że zdam się tu na coś — że nie będę jadła próżno chleba łaskawego—rzekła.

— Pan mi trochę pomożesz i drogę wskażesz—dodała łagodniej, podnosząc piękne oczy na Stanisława, który przed nią na stopniach ganku stał. Konia oddał chłopakowi stajennemu, który mu się szczęśliwie pod ręką znalazł, idąc właśnie do niego po dyspozycye co do wybrania się starych państwa do kościoła na nabożeństwo, ale zobaczywszy tu tak rano piękną amazonkę, otworzył na nią oczy szeroko, jak na zorzę jasną, i nic już nie powiedziawszy, konia z rąk Stanisława wziął i do stajni go wiodąc, na okólniku cicho nucić począł:

Za warotami trawa, za warotami murawa,
Załatam pasypana....
Tacianka iszła, załato niesła, załato razsypała...

Stanisław patrzył tymczasem na piękną pannę zadziwiony i wzruszony, lecz ona powtórzyła raz jeszcze z odcieniem prośby w głosie: — Wszak tak?.... pan mi pomożesz....

Po naprężeniu uczuć, po szybkiej jeździe i jej zmęczeniu, zaczęła przychodzić teraz na nią reakcya. Uczuwała ogarniającą ją niemoc i potrzebę odpoczynku, oparcia się jakiegoś, więc mimowoli przyszły jej na usta te słowa: — Pan mi dopomożesz....

W tej chwili okno tuż obok ganku otworzyło się i p. Róża wyjrzała z niego.—Ty tu?... ty dziecko drogie!—zawołała i w tej chwili Wanda znalazła się w jej objęciu, przytulona do jej ciepłej piersi.—Matko moja! — szeptała i nie wstydziła się już teraz zapłakać.

— Matko—powtarzała—przyjmij mnie, bo nie mam żadnego, żadnego kąta na świecie.... nie mam nikogo....

Stanisław cofnął się dyskretnie, ale wzruszenie jego było wielkie. Cała okolica wiedziała o tem, że p. Roman bywa często w Porzeczu. Wszyscy domyślali się w nim konkurrenta i czekano końca historyi z ciekawością, która u wielu łączyła się z powątpiewaniem w stałość Wandy.—Pójdzie—mówili—lata jej upływają, a dla panny, to wiele znaczy.' Nie jedna już tak zmarnowała młodość w tęsknocie i cóż jej z tego przyszło? Choć się która doczekała szczęśliwego niby końca, to nie doczekała się szczęścia. Miłość jest to kwiat wiosenny i nikt nie przytrzyma, co z czasem ucieczе—zwiędnie, woń swoją utraci...,

Byli przecież inni, kobiety zwłaszcza, które nie chciały przystać na taką teoryą życia i miłości, Stanisław zasłyszał nieraz, jak o tem rozprawiano i teraz spojrzawszy na tę dziewczynę piękną jak wiosna i przywiodłszy sobie na pamięć tamtę — pomyślawszy jak dla obowiązków dalekiej, niepewnej przyszłości, która dać może ledwo okruch szczęścia, rujnuje sobie teraźniejszość, zrzeka się majątku, wygód, stanowiska i wreszcie tego, naturalnie upragnionego przez kobietę szczęścia, aby słabsza oparła się na mocniejszem ramieniu kochającego ją człowieka, uczuł dla Wandy taki szacunek, taką cześć że odrazu przestał się lękać dla siebie tego niebezpieczeństwa, którem grozić mu się zdawało przebywanie z nią ciągłe.

— A cóż będzie jeżeli pokocham się tak, jak ludzie nieraz kochają—szalenie, namiętnie? zapytał się wtedy siebie z przestrachem, kiedy Wanda, podnosząc na niego swoje czarne, aksamitne źrenice, prosiła go, aby był jej nauczycielem w pracy poświęcenia i ofiary. On słyszący jej głos słodki, patrzący na nią śliczną, jak ta zorza jasna,

o której śpiewał Iwaś, jedno tylko spojrzenie rzuciwszy na nią — on czuł, że głowa zawracać mu się zaczyna.

— Cóż, jeżeli zwaryuję dla niej i dzieła mego nie dokonam, pokuty nie dopełnię, znajdę się znowu jak ptak z przestrzelonem skrzydłem, z jedną raną w sercu więcej, z pogardą już dla siebie ostatnią?....

Ale zwolna zaczął się tak przed nim podnosić majestat tej cnoty niewieściej, że uwielbienie przeważyło nad wszelkiem innem wrażeniem, nad wszelkiem innem uczuciem.—Nie—rzekł sobie w chwili, gdy Wanda, wyciągając ręce do p. Róży, zawołała:—Matko, przyjmij mnie!—Nie, nikt nie szaleje dla świętej, nikt dla świętej nie traci rozumu i pamięci, bo świętą czci się na kolanach.

I tego tylko nie mógł wymódz na sobie, aby tej swiętej nie pokazać coś z uczuwanej czci swej. Gdy Wandzie draperya długiej sukni wymknąwszy się zpoza paska, gdzie ją sobie przymocowała, stała się nagle przeszkodą w przejściu z ganku do pokoju jadalnego, dokąd ją p. Róża na śniadanie wzywała, on się nagle schylił i kraj tej sukni ująwszy, do ust poniósł. Ją oblał wtedy rumieniec gorący. Zmieszała się i cofnęła nieco w tył.—A... co pan robisz?—rzekła z pewnym wyrzutem w głosie.

— Relikwii dotykam — odparł Stanisław a w spojrzeniu jego, które się wtedy z jej wzrokiem zbiegło nie było nic, coby raz drugi oblało rumieńcem lice dziewicze.

— Entuzyasta pan jesteś—rzekła zcicha i wyciągnęła do niego rękę, jak do przyjaciela i stanął wtedy między niemi jak jakiś pakt dobry pomocy wzajemnej, w milczeniu zawiązany. Wanda uczuła, że jest bogatszą o jedno oddane jej całkiem serce; Stanisław przestał się lękać jej przytomności, jej przebywania pod jednem z nim dachem.

Nie niebezpieczeństwo i słabość, ale siła i wytrwałość mogła mu tylko iść od niej i życie jego zyskiwało nagle nowy i wysoki interes.— Mieć będzie we mnie takiego stróża i obrońcę, że ktokolwiek chciałby zbliżyć się do niej nieprzyjaźnie, lub zuchwale, musiałby przejść po mnie — mówił sobie, gdy postępując za nią, widział ją wchodzącą do starego dworu.

Za to p. Michał wydał się obok Wandy niby rozkochanym młodzieńcem. Ręce jej przy śniadaniu ustawicznie całował, z zachwytem na nią patrzył, każdy ruch jej śledząc, a Stanisława brał za powiernika doznawanych wrażeń.—Jaka ona ślicz na! kochanku— mówił mu wciąż do ucha.... jaka w niej gracya i dystynkcya... Chciał, aby jej się dostały wszystkie kożuszki ze śmietanki, a potem zaraz poszedł do ogrodu, pozrywał najpiękniejsze kwiaty i przyniósł jej z nich bukiet ogromny. — Niéma na świecie takiego kwiatu, kochanko, jak ty — rzekł jej z rozrzewnieniem— ale weź od starego te chociaż, jakie tu są, na tych ubogich, bez ogrodnika hodowanych grzędach naszych....

— Tu wszystko ubogie — dodał smutno— ubogie, a tyś dlatego rzuciła dostatek i używanie pańskie! Wyrzuty sumienia ogarniają mnie też, że cię tu widzę, a nie wołam:—Kochanko, a wiesz ty coś zrobiła? Bieda, to widzisz rzecz ciężka.... ciężka!.... Gniecie tak, że aż człowiek się garbi pod nią i schyla, fantazyą traci.... Ja to wiem, kochanko. Może żem stary już i siły we mnie osłabły, ale mnie przygniotła i nie umiem się z nią za bary wziąć i mocować się... przygniotła mnie...

Pan Michał czuł to boleśnie, że bieda owa wytrąciła go jakgdyby z koła sąsiadów, ze stanowiska, jakie niegdyś między nimi — jakie w okolicy zajmował. Wprawdzie to on sam, on i p. Róża, usunęli się na bok. Biedy tej, którą tak Wandę straszył, przed którą tak Wandę ostrzegał, prezentować nie chcieli i usuwali się, usuwali, aż powoli zapominać ich zaczęto, pomijać. Jemu gorycz, ztąd w serce płynąca i w cichości łykana, teraz pod wierzch się wydobyła. Bolało go, raniło ciężko, że ta, która chciała synową jego być, musiała się do nich z domu opiekunki wykradać tak, jakgdyby do wiejskiej jakiej chaty zbiegała. Bolało go i poczuł się w sumieniu swojem do obowiązku, aby ją ostrzedz przed tem, co czyni.

— Ludzie, kochanko, źli nie są — mówił — ale bieda to do siebie ma, że ich odstrasza. Boją się jej, bo smutna to rzecz i patrzącym na nią dobry humor się psuje, a ty nieuważna, boś młoda, do biedy, jak do czego najlepszego, sama przychodzisz i lgniesz do niej. Młoda jesteś, szlachetna jesteś, więc dlatego to czynisz, ale ja stary, powinienem ci dobrą radę dać, że popełniłaś rzecz nierozsądną. Tak, tak, kochanko.... rzecz nierozsądą, ale jeszcze to naprawić można. Wróć kochanko, do domu.... ja cię sam odwiozę i pani prezesowej wytłómaczę, że to szlachetna rzecz w młodości takiego wykradnięcia się dopuścić: z dostatku do biedy uciekać!....

— Sam cię odwiozę... Dawno już, od śmierci nieboszczyka prezesa w Porzeczu nie byłem, ale teraz sam cię tam odwiozę. Z łaski tego poczciwego chłopca, którego mi Bóg z nieba spuścił: z łaski tego drugiego Stasia, któremu niech ten Bóg błogosławi że nas starych ratuje i dźwiga jak może, pojedziemy do p. prezesowej jako tako... Powóz połatany, skóry wysmarowane, a konie, kochanko, wcale, wcale niezłe i nie ustaną pod górą, na którą się trzeba drapać, do pałacu p. prezesowej chcąc się dostać... Odwiozę cię, i ciotkę, jak mówiłem, przeproszę i wytłómaczę, że młodość to ogień, co się czasem Bóg wie, jak zapali. Kiedyś, jeżeli jeszcze z jakie kilka lat pożyję, podziękujesz mi za to kochanko—powiesz: Bóg ci zapłać stary, żeś egoistą nie chciał być i nie dał mi nierozsądnej rzeczy zrobić...

Zaczęły mu ręce trochę drżeć, gdy ostatnich słów domawiał, ale trzymał się mocno. — Namyśl się kochanko — dodał. — Może lepiej, żebyśmy zaraz jechali i ja ci też służę. Zaraz, zaraz odzieję się jak na wizytę wypada, a p. Stanisław każe nam tymczasem konie do powozu założyć.

Stał przy tej przemowie całej przed Wandą, która z bukietem, od niego otrzymanym, siedziała jeszcze przy nakrytym stole w jadalnym pokoju i słuchała go tak cicho, tak mu nic nie przecząc, że Stanisława, który się zaraz przy początku tej przemowy p. Michała pod okno cofnął, ale wyjść z pokoju nie miał siły—zaczęło ogarniać coś, jak niepokój. Lękał się, czy Wanda nie usłucha głosu tego rozsądku, który do niej tak po ojcowsku przemawiał—lękał się... Zajrzała w głąb tego ubogiego domu, w którym już od wiele lat nigdy dłuższej chwili nie przebyła i widywała go głównie w wyobraźni tylko, przez pryzmat serdecznych jej uczuć, jak piękna sielanka malowanym.

Teraz przecież zajrzała tu i widziała życia pędzonego szczegóły bliższe: bosą wiejską dziewczynę, która do śniadania posługiwała i jedną filiżankę wyszczerbioną, u drugiej uszko lakiem przyklejone, a taca, na której kawę wniesiono, dawno się już rozstała z lakierem, co ją niegdyś zdobił i kwiatami różowych malw na czarnym tle połyskał. Rozstało się tu życie z wszelkim blaskiem, z kwiatami wszelkiemi i ona widziała to teraz naocznie, zblizka...

Stanisław patrzył na nią niespokojnie. Gorączka go ogarniała, wlepił w nią oczy prawie przerażone, a dusza w nim wołała: — Ach! milczysz, bo się chwiejesz... Sił braknąć ci zaczyna!

A ona biedna była tylko wzruszona—wzruszona tak, że musiała to w sobie najpierw pokonać, aby nie szlochać, nie łkać, wołając: O! ja pragnę właśnie tej biedy, bo ta bieda jest mi nad wszelkie dostatki droższą! Ja nie nawidzę tego bogactwa, które rzuciłam — pysznego, próżnego bogactwa, bo jest ono nędzą najcięższą już! najcięższą...

Nie chciała tego wybuchu i doczekała ostatnich słów p. Michała tak cicha, jak gdyby je najuważniej w serce brała, aż naraz podniosła na mówiącego oczy, wzięła jego rękę i do ust poniosła:—Ojcze, niech ja tu zostanę, bo mi tu dobrze, niech ja tu zostanę, bo tu ciepło, przytulnie... bo tu jest dla mnie miejsce właśnie, i powinnam tu była już być dawno.

— Nie wypędzaj mnie, ojcze—dodała, a p. Michał otworzył ramiona i objął ją niemi.

(Dalszy ciąg nastąpi).

PRZEGLĄD TEATRALNY.

LIX.

Nowy dziennik, komedya w 3-ch aktach, przez *Michała Bałuckiego*, przedstawiona poraz pierwszy w Teatrze Rozmaitości d. 7 Kwietnia r. b.

Muza p. Bałuckiego nie próżnuje. Kto nie pisze dla sceny, to nie pisze, ale autor *Radców Pana Radcy* pióra z ręki nie wypuszcza. Sztuki p. B. nie odznaczają się wprawdzie polotem ani głębością; nie znać w nich doskonalszego odczucia człowieczeństwa, nie widać skrzącej się artystycznie satyry, ani delikatnego humoru; mało z nich doczeka się jutra w literaturze: ale wszystkie one posiadają, prawie bez wyjątku, tę jednę wysoką zaletę, że zajmują, a chociażby ich zasługą dotychczasową miało być tyć tylko współzawodniczenie z zepsutą etycznie dramaturgią francuzką (dziś i tam zaczyna być niby trochę lepiej), to i tak jeszcze pożytek z dramaturgii oryginalnego naszego pisarza byłby niezaprzeczonym. Cała ta dziś już tak liczna rodzina, której ojcem jest talent p. Bałuckiego, składa się z istot figlarnych, uciesznych, pucołowatych, niewybrednych w myślach i kostiumach, niewielkich duchem,— ale jędrnych i zdrowych, i jakoś umiejących się podobać. Po wysłuchaniu takiej sztuki wychodzi się z teatru nalekko; żadne opary rozmyślań, trosk, niepokojów o prawdę nie osiadają na umyśle; idzie się na kolacyą z dobrym apetytem, a nazajutrz wstaje się do śniadania w dobrym humorze. Na trzeci dzień zapomina się już o treści komedyi, pamiętając tylko to, że, jakąkolwiek była, umiała na razie rozśmieszyć.

Jeżeli teatr może wywierać jaki wpływ trwalszy na publiczność, to teatr p. Bałuckiego nie wywiera, nie chce wywierać, żadnego. Ma on skromne ambicye; mówi sobie: „Jestem dla publiczności, nie publiczność dla mnie.“ Zabawienie widzów, wzbudzenie w nich szczerej wesołości, zapewnienie im paru godzin bez trosk, żółci i łzy, choćby najbardziej przelotnej: oto jego cel. Wielki tłum widzów pociąga do sztuk p. Bałuckiego głównie to, że „człowiek na nich ubawić się może“—i bawią się też ludziska. Sąsiad mój na przedstawieniu *Nowego dziennika* wyjaśnił towarzyszowi swemu tajemnicę nieuczęszczania na dramata poważne — nie tylko u nas, ale i w całej Europie — tym argumentem, że „życie jest dość już ciężkiem, aby człowiek w teatrze nawet jeszcze chciał przysparzać sobie ciężaru.“ Taką filozofią, może równie łatwo postawić, jak zdmuchnąć; ale pamiętać potrzeba, że ona-to jest filozofią wielkiej gromady ludzkiej i pod jej opieką właśnie powodzi się sztukom p. Bałuckiego na scenie. W rzeczywistości ludzie nie dlatego szukają w teatrze czegoś lekkiego, żeby życie odczuwali i dźwigali jako ciężar; ale dlatego idą do teatru po bezmyślną uciechę, że i w życiu do czego innego nie dążą. Teatr ma być dla nich— i w rzeczywistości jest — tylko dalszym ciągiem życia.

W sztukach p. Bałuckiego ambicya twórcza zwraca się głównie na kombinacye, zestawienia, przygody i słówka zabawne. Tworzenie zaczyna się od fabuły; na niej ustawia się figurki, różnego kształtu, wzrostu i wyglądu; potem każdą oblewa się humorem, jedne gryzącym, drugie łagodnym, roztworzonym; potem obmyśla się spotkania, starcia i wybuchy; dodaje się jakieś jedno, drugie niewiniątko, trochę szalone lub trochę sentymentalne, dobiera mu się do pary inżeniera lub hreczkosieja, bogdaj nawet aptekarza,—i komedya gotowa. Najczęściej powstaje ztąd całość miła, wdzięczna, a zawsze wesoła. Oczywiście, że satyra nie jest w zupełności z praw swoich wyzutą, ale w ostatecznem wrażeniu zasypuje i przygniata ją humor lub dowcip swawolny, wyłamujący się zpod prawa satyrycznej twórczości—na cierpliwym a cierpiącym rozumie opartej. Karykatura jest nieodłączną od sztuk p. Bałuckiego; wszędzie spotykamy kształty zawielkie, przesa-

dzone, rażące nieprawidłowością, powykrzywiane jakieś, popaczone rozmyślnie. Jest to jakby rzeźba robiona, nie dłutem, ale siekierą; tylko, że w cięciach tej siekiery czuć temperament, czuć jego najwyższy przymiot: ciągłość i ustawiczność, widać pryskające na wszystkie strony iskry życia. Gniewać się możesz na ten talent, ale tem samem już, że się gniewasz, istnienie jego jako samorodnej siły uznajesz.

Nowa improwizacya p. Bałuckiego jest podobną do starszego swego rodzeństwa. P. Rzepkowski, szlachcic niewybrany do komitetu drogowego, postanawia się zemścić na współobywatelach przez założenie dziennika oppozycyjnego Oddawna był to już sensat nielada, bo korrespondował z Bismarckiem,—oczywiście nie otrzymując odpowiedzi. Zna nawylot całą Europę, zna swoich,—i pokaże im co może. Jako przyszły kierownik opinii, jedzie do jednego z większych miast galicyjskich, aby wyuszukać sobie współpracowników i straszną machinę w ruch puścić; ale jako mądry dyplomata, dla niepoznaki, bierze ze sobą obie córki, które matka jeszcze przed sztuką, odumarła. Szuka i znajduje samych sowizdrzałów, urwipołciów i nicponiów—nie dlatego, żeby innych nie było, tylko dlatego, że autor takich, a nie innych, potrzebował, aby swego p. Rzepkowskiego ośmieszyć i galeryą teatralną ubawić. Szlachcic jest tak ograniczony, że daje sobie wszystko narzucić, wszystko wyperswadować: ów świat dziennikarski, trzęsie nim jak lalką słomianą. Bardzo łatwo staje programat, staje redakcya dziennika i całe przedsiębierstwo wkracza już w akcie III w ostatni, najuroczystszy swój moment przeddziejowy: w pierwszą bibkę redakcyjną, kiedy nagle zjawia się przez dwa akty wcale nieznany i niewidziany sąsiad głupiego szlachcica i oznajmia mu wieść niespodziewaną, że go powiat wybrał, już nie na jakiegoś tam drogowca, ale na marszałka swego, na najwyższy urząd, jakim mógł w zakresie zarządu autonomicznego rozporządzać. Rzepkowski, jakby nano wo narodzony, myśli tylko, jakby się wywinąć z dziennika. Sam niezdolny do tego, korzysta z pomocy sowizdrzała, zdaje się, że jeszcze studenta na uniwersytecie, Stefana Czeczugi. Wynajęci już dziennikarze trochę się zżymają, ale główny między nimi łebak ów Rozpendowski, łudząc się nadzieją schwytania córki, mniej już dba o dziennik zakładany przez ojca. Rzepkowski bez trudu wydobywa się z matni i zamiast z dziennikiem wraca na wieś z dwoma zięciami. Panny bowiem nie zasypiały gruszek w popiele: jedna, młodsza, nad wszelki wyraz naiwna, zaczepia mężczyzn z przeciwka, wywołuje tym sposobem w akcie I dość drastyczną pomyłkę ze strony owego Stefana, i w końcu sztuki jest już w nim zakochaną; druga jeszcze przed I aktem kochała się w Buraczyńskim, inżenierze a synu ekonoma. Na mezalians ojciec nie pozwalał, ale teraz musiał spalić swe *veto* na ołtarzu postępowości przeszłego swego dziennika. Obie panny zatem robią na dziennikarstwie lepszy interes, niż papo, któremu zakładanie organu postępowego wymiotło trochę kieszeń, wskutek rachunków, zaliczeń danych przyszłym współpracownikom, kosztów prospektu i bibki redakcyjnej. Zawiedzionymi są dziennikarze i ciocia obu panien, dzięki niewybrednemu *quod pro quo*, popierająca interes małżeństwa Rozpendowskiego z młodszą córką głupiego szlachcica. Zawiedzionymi byliby jeszcze i widzowie, gdyby już idąc do teatru, nie wiedzieli, że p. Bałucki nie da im nic więcej nad wesołą, ale nieprawdopodobną, karykaturalną z charakterów obraną, w humorystyczne tylko zestawienia, w dowcipne słówka obwitą—pohulankę.

Dowcipy p. Bałuckiego, przypominające zazwyczaj tuczone kaczki, w nowej sztuce nie przebierają miary w słowach, ale zato biorą odwet w mimice. Zapewne autorowi malowały się powabnie w umyśle twórczym wszystkie te effekta zakończające dyalogi p. Rzepkowskiego z Trzepałkowską (Ciocią); trudno go zatem będzie przekonać, że dla własnej literackiej godności, przez poszanowanie tego imienia, jakie sobie w literaturze wyrobił, powinien na podobne powaby i ponęty oczy zamykać i pamiętać o tem, że effekt teatralny nie potrzebuje być zaraz effektem teatrzykowym, i to najgorszego gatunku, bo z *café - chantant*. Gdyby publiczność nasza miała lepszy smak i większą sprężystość, objawiłaby autorowi swe niezadowolenie i dałaby mu naukę, choć spóźnioną, ale niemniej użyteczną.

Nie potrzeba mówić, że Rzepkowski jest karykaturalnym, nieprawdziwym kaleką, niedołęgą i głupcem. Grube jego, niezdarne zarysy, rozmyślna brzydota, koloryt jaskrawy, nieznający półtonów, pędzel malowideł gwaszowych, przeznaczonych do oglądania zdaleka — wszystko to nie pozwala rozwinąć się żywiołom satyrycznym, tkwiącym w samem założeniu podobnego charakteru. Karykaturalni są również dziennikarze, a karykaturalność tutaj również przyćmiła satyrę wypromieniającą się z postaci np. takiego Rozpendowskiego, nienowej zresztą i przez innych już, od Chęcińskiego począwszy, wyprowadzanej na scenę. Jedynie prawdziwym ze wszystkich męzkich charakterów wydaje się Stefan—dobry letkiewicz, umiejący i ruszać się i poruszać innych z prawdopodobieństwem i bez abdykacyi własnej istoty na rzecz autora, upędzającego się ciągle za humorem. Arcy-niezręczną jest owa pomyłka cioci Trzepałkowskiej, polegająca na podstawieniu Rozpendowskiego w miejsce Stefana, jako domniemanego przedmiotu uczuć Heli Rzepkowskiej. Taki wytrawny kompozytor i pisarz komedyi, jak p. Bałucki, mógłby już wyrzec się równie naiwnych, naiwnie łatwych do rozwiązania, węzłów dramatycznych.

Artyści nasi nauczyli się już grać dobrze sztuki p. Bałuckiego. *Nowy dziennik* szedł bardzo składnie i jako przedstawienie sceniczne zupełnie zadowolnił. Z mężczyzn p.p. Rapacki (Rzepkowski), Tatarkiewicz (Stefan), Wolski (Rozpendowski), prawdziwie wybitną grą swoją zasłużyli sobie na wdzięczność autora, którego sztuki wogóle, uważane jako zabawy, bez teatru tracą większą połowę swej wartości. Mniejszy od Rozpendowskiego Filusiński znalazł w panu Szymanowskim wybornego przedstawiciela. Jedyna jakotako większa rola kobieca, Heli Rzepkowskiej, dostała się młodej, odniedawna występującej artystce pannie Trapszównie. Jest tu już i głos, życie, i powabna zwinność, i twarz nie brzydka i rozumienie tego, co się mówi: kiedyś może być i powinien być z takiego tworzywa — artyzm. Tylko „bez pracy niéma kołacy“ — a młodzi pracować nie lubią. Człowiek w życiu czy artysta w teatrze, może być zawsze panem, nie losu wprawdzie swego, ale samego siebie, swych sił i zasobów. Od dobrej nauki, dobrego rozwoju, dobrego gospodarstwa umysłowego wszystko zależy. Praca w artyzmie scenicznym więcej znaczy, niż się to początkującym wydaje. Spytajcie Żółkowskiego: odpowie wam, że wielkość swą zawdzięcza tylko stałości, z jaką genialność jego dotrzymywała zaprzysiężonej wiary trudowi,—błogosławionemu trudowi! Rozpoczynające swój zawód artystki, zwłaszcza naiwne, spotykają się odrazu z wrogiem, który się im za przyjaciela podaje. Jest nim huczący paradyz. Kto raz dla paradyzu grać zacznie, ten już stracony.

Stanisław Krzemiński.

ECHA LWOWSKIE.

Dnia 10 Kwietnia 1888 r.

Rok obecny niezaprzeczenie należeć będzie do wyjątkowych pod każdym względem. Prognozy naukowe ustają w podobnych wypadkach; zastępuje je wówczas dobroczynny instynkt, ten piastun nasz nieoceniony. Czego np. meteorologia nie mogła była odkryć ze swych ścisłych spostrzeżeń, to, jak widzieliśmy z poprzednich naszych wiadomości, przepowiedziały nam zbłąkane nurki podbiegunowe: zima tegoroczna swą surowością prawdziwie Sybir nam przypomniała. Olbrzymie massy śniegu i mrozy nieustające, według wszekich obliczeń ludzkich, kazały przypuszczać, że się przewlecze zima, co najmniej, do połowy Kwietnia; tymczasem stało się zupełnie co innego. Otóż i tę niespodziankę wyprorokował nam znowuż gardziołek ptasi, ale tą razą najpospolitszego naszego śpiewaka leśnego. Zaraz po św. Józefie, szara zięba, „Maciejowa“ po ludowemu, zaświegotała: „a czy nie widział kto Macieja?“ co zwiastuje koniec zimy, i rzeczywiście wbrew wszelkim pessymistycznym przewidzeniom, jako ukochany Maciek, zawitało do nas na święta, według słów najznakomitszego liryka lwowskiego:

„Słoneczko, śliczne oko, oko dnia pięknego!“
(*Szymon Szymonowicz* „Żeńcy“).

—słoneczko wiosenne, wiozące w swym rydwanie ognistym Dadźboga, Apollina polańskiego, władcę wiosny. Raptowny atoli ten pocałunek wiosennego słońca, w całej grozie majestatu przestrogi umiarkowania dał się straszliwie nam uczuć w wylewach niebywałych. Ciekawem jest również i tu przepowiedzenie tego wypadku przez instynkt źwierząt. Już nie ptaki, mające do czynienia z powietrzem, lecz tym razem czołgający się po ziemi lichy gad ostrzegał dumnego człowieka o niebezpieczeństwie powodzi. Kiedy jeszcze płatka śniegu nie było, na początku zimy, całkiem łagodnej, raptem dziesiątki tysięcy wężów ruszyły na Węgrzech z jednej dunajowej wyspy, wynosząc się do Serbii. Lud patrzał ze zgrozą na to widowisko i odrazu odgadł przyszłą straszliwą powódź obecną, co milionami szkód zapisała się na długie lata w pamięci ludzkiej. Dlaczego nauka urzędowa nie pochwytuje tych skazówek i w swych buletynach meteorologicznych ich nie notuje? Możnaby śmiało pychę z serca zrzucić i jeżeli nie ma się wiadomości samemu, to łatwo zajrzeć do jakiegokolwiek dokładniejszego dzieła traktującego o instynkcie źwierząt. Wieszczy instynkt ten, tak lekceważony przez wszechpotężną naukę urzędową, powinien być głębiej przestudyowanym na podstawie metody pozytywnej, która tak skutecznie dopomogła do wrócenia dobrej sławy magnetyzmowi źwierzęcemu, przechrzczonemu niewiedzieć na co i po co na hypnotyzm—chyba na to, by akademie nie tracąc na uroku wszechmądrości, mogły łaskawie go uznać?...

Poza klęską powodziową, która wynosi w szkodach coś około 115,000 złr., prócz popsutych tam i grobli, prowincya nasza ogólnego wzruszenia doświadczyła w ostatnich czasach zpowodu zamiaru rządu powiększenia podatku od wódki. Ta spirytualna kwestya narobiła i robi u nas tyle hałasu, że doprawdy, mogłoby komu się zdawać nie wiedzieć co, jakbyśmy już naprawdę stali nad przepaścią powszechnej ruiny, czy nowego jakiegoś *krachu*. Oile mogliśmy rozważyć na zimno tę „piekącą“ kwestyą, wygląda ona w rzeczywistości mniej strasznie, niż ją nam interessowani malują. Jeżeli miałby tu kto ucierpieć, to niezaprzeczenie „gorący“ zwolennicy gorących trunków... Ale pono troszczyć się zbytnio o tych panów—to chyba ich wprowadzać w ambaras, a to z tej prostej przyczyny, że nie będą wiedzieli naprawdę: czy ich dobroczyńcy żartują z ich nałogu, czy zamierzają może w drodze konstytucyjnej dochodzić szkód, gdyby niesumienni szynkarze zaczęli dolewać zawiele wody?... Wojna nasza wódczana wrze u nas tak okropnie (wprawdzie tylko na papierze), że o żadnej innej akcyi wojennej ani myślimy, zapatrzeni w działa... Trallesa i regestra propinacyjne. Jedna jest strona poważna w tej sprawie, mianowicie ta, że w obecnej grze o zdobycze pracy organicznej jakoś niezręcznie podkopano u nas jeden z jej filarów głównych: stanowisko rodaka ministra Dunajewskiego, a razem z nim i Koła Polskiego, zostało mocno zachwiane u korony. Wprawdzie chodzi tu o podniesienie akcyzy przeszło w trójnasób, bo z 11 na 35 złr. od hektolitra, ale z tem wszystkiem podatek ten od wódki będzie najmniejszym ze wszystkich europejskich w tej gałęzi. Żeby dać lepsze wyobrażenie, oto: w Galicyi obecnie

kosztuje prostej wódki kieliszek 2 centy, po podwyższeniu zaś będzie kosztował nieco więcej, niż 2½ cta. *Tant de bruit pour une omelette?!*... Zachodzi tu coś podobnego, jak ciągłe nasze krzyki na przeciążenie podatkami, aż dopókąd p. Szczepanowski w swej *Nędzy Galicyi* nie wykazał nam, że faktycznie płacimy najmniej podatków w Europie. Bogactwo przychodzi do narodów przez ich ruchliwość ekonomiczną i przemysłową, lecz nie przez żadne oszczędnoście w wydatkach państwowych lub bogactwo naturalne gleby. Całe więc obecne nasze pospolite ruszenie wódczane trzeba uważać właściwie za rodzaj sportu konstytucyjnego, zależącego na burzeniu ołtarzy... które poprzednio sami postawiliśmy naszym bóztwom... W najlepszym „razie jest to sobie wiele hałasu o nic, gdzie nie wiedzieć“ na co i po co Benedykt i Beatryx wleźli do tej całej naszej komedyi konstytucyjnej, nie przymierzając jak i w utworze Szekspirowskim...

Wprawdzie bez tej sceneryi politycznej życie ucywilizowanych narodów obyć się nie może, nie mamy też zamiaru jej wcale ganić, wychodząc z zasady: niech się świat poleruje... Nasze podium konstytucyjne jest ciągle wstrząsane przez wulkaniki; działania ich atoli w żadnym razie nie wypada uważać za straszliwsze, np. od skutku płomieni pod fajerką, na której wytwarza się jedno z arcydzieł szanownej autorki *365 obiadów* Nie przesadzamy wcale w porównaniach, bo istotnie w naszych tych wstrząśnienich wulkanicznych, zamiast dymów i wyziewów siarczystych, podczas wybuchu uczuć rozlega się miła woń pieczystego, oraz zapach węgrzyna lub piwka, spożywanych u jakiego Szpekmajera czy Kugelmajera, na uczcie zakończającej okres wulkaniczny... Ani straszliwe zaspy śniegowe, ani groźne widma wo'ny, ani klęska prawdziwa powodzi: nic nie zdołałało powstrzymać naszego teatralnego ruchu kulturowego, od którego u nieoswojonych jeszcze z nim naszych remanentowych strachajłów z dobrych dawnych czasów, ciągle nietylko wargi, ale nawet nosy i uszy drżą...

Prócz relacyjnych sejmików, wśród których na wyróżnienie zasługuje samborski, gdyż na nim zdawał sprawę p. O. Hausner, mieliśmy ciągle to jakieś obchody, to zjazdy walne i wiece. Wśród walnych zjazdów pono najoryginalniejszem było zgromadzenie kowali i konowałów, które wśród burzliwych objawów organicznej pracy, wykuło i „wyrzezało“ rezolucyą do rządu, sięgającą aż za dziesiąte niebo projektów dążących do podźwignięcia kulturowej pracy na tem polu. Kując swe projekta do prawa, szanowne zgromadzenie, jak zwykle, złożone z robotodawców *vulgo* majstrów, wpadło w zaklęte koło ograniczania pracy nieumiejętnej, to jest spełnianej przez ludzi niewykształconych na prawidłowej drodze danego zawodu, pracy zawzięcie u nas prześladowanej na wszystkich zjazdach i wiecach rzemieślniczych. Prawdę mówiąc, stan nasz rzemieślniczy, stoi pod względem dobrobytu najświetniej ze wszystkich, trudnem przeto jest do zrozumienia owo skąpstwo w udzielaniu okruchów ze stołów obfitych p.p. *fachowych* robotodawców na rzecz chudeuszów *niefachowych*? Powszechna anomalia to, że nasza rzemieślnicza; mechaniczna praca, o wiele prześcignęła zarobkami wynagrodzenie intellektualnego zajęcia, ależ ztąd bynajmniej nie powinno wypływać, jakoby jej się wszystko należało, a reszcie nic. Tu jest trochę nie wesoła strona w tym epizodzie naszej wulkaniczno-konstytucyjnej erupcyi, ale gdyby tego nie było, czyżby scena nasza dziejowa mieć mogła tło prawdziwe?

W ogóle cała kwestya *fuszerek* i *niefuszerek* przedstawia się tak: jednego stać np. na zwykłą wątrobę, czyż ma mu być ona zakazaną, dlatego, że w Strasburgu pasztetnicy wyrabiają swe głośne przysmaki z gęsich wątróbek? Mamy obecnie wszyscy usposobienie do rozpływania się we łzach nad niedolą i nędzą wszelaką; a tu tymczasem wydajemy je bez litości pod rzezak *fachowości*. Podług jakiej to logiki i ekonomii politycznej skonfiskowano starą jak świat zasadę współzawodnictwa—tego chybaby i sam ś. p. Rozbicki wytłómaczyć nie potrafił.

Świat, to naprawdę wielkie teatrum, w którem jedni drugich na wyścigi, jeżeli nie zjadają, to napewno oszukują... Kto wie? może najwięcej jest prawdy tam, gdzie się zmyślenie bierze za tło, a z ułudy robi rzeczywistość. Scena z jej papierowym lasem, z płóciennem morzem, z kapłonami tekturowemi, z sylfami na drutach — nietylko, że jest piękniejszą i szlachetniejszą od prawdziwego życia, ale bodaj czy i nie prawdziwszą od wiecznie oszukiwanego żywota człowieczego.

Przypadek zrządził, że w powyższej nomenklaturze obok kapłona wymieniliśmy sylfa. Zmusza to nas przeto poniekąd do zaczęcia przeglądu teatralnego od sztuki naszego „sylfa krajowego“, szanownego p. Abrahamowicza, od jego *Pospolitego ruszenia*, które ściągało całe nasze miasto do Gmachu Skarbkowskiego. Straszliwa instytucya nowożytna, wprowadzona świeżo w życie przez czerwonych warchołów w monarchii habsburskiej, niedająca spać filistrom, dopomogła właśnie autorowi czy autorom, bo i p. Ruszkowskiego widzimy, jako nieodłącznego wspólnika w *Pospolitem ruszeniu*, do wybrnięcia z sytuacyjnych kłopotów, i choć epizodycznie upozorować racyą bytu effektownego tytułu na czasie. Krytyka nasza wcale przychylnie przyjęła ten utwór nowy p. Abrahamowicza et Co. i daleko łaskawiej się z nim obeszła, niż z inną też premierą, mianowicie: z *Ptakami Niebieskiemi* p. Zygmunta Przybylskiego, którym znowuż zanadto piórek wyskubała. *Lepszy łut szczęścia, niżli funt rozumu*—pono w tym wypadku miećby mogło dokładne zastosowanie. Całe złe tu dla autora wypłynęło ztąd, że zamiast bawić rozmazurowanym matrymonializmem, wyciągnął na scenę ostrą satyrę. Wypadało autorowi liczyć się z tem, że weszliśmy właśnie w dobę opportunizmu optymistycznego, który *par force* każe wierzyć mizerakom, że np. pokrzywa—to wyborna sałata, a krogulce—to najłagodniejsze gołębie... Optymizm, jak wiadomo, jest rodzicem epikureizmu, a ten ani rusz żyć nie może bez hulatyk; u niego wiecznie—„choć bieda, ale hoc!“. Tę tajemnicę zbadał dokładnie p. Walewski, artysta dramatyczny tutejszej sceny, i obdarzył nas inną nowalią p. t: *Hulaj dusza*. Autor świadomy, kędy droga w groch prowadzi, znając praktycznie apetyt „smaku krajowego“ i na niego przynęty, nawalił też kupę effektów scenicznych, od których trzeszczą podłogi i ławki w parterze i paradyzie, gdy zaczną bić brava... Co szczególniejszego uroku dodaje tej sztuce niedzielnej, oto, że kasę robi znakomicie: radzimy przeto scenie warszawskiej szczerze, by ją sobie co najrychlej przywłaszczyła.

Już kiedy hulać, to hulać naprawdę... choć zawsze w złudnej formie sztuki. Epikureizm nasz nasycał się w tych ostatnich czasach innemi jeszcze nowaliami. Miasto nasze dzięki temu, że jest rodzinnem p. Kochańskiej, zaczęły odwiedzać największe znakomitoście europejskie muzyczne. Prymadonna opery wiedeńskiej p.p. Bianka Bianechini, pierwszorzędny śpiewak Fryderyk Materna, czarowali słuch naszych melomanów, wątpimy jednak czy tak trafili do serc słuchaczy, jak nasza *diva* rodzinna, której tak na miejscu nie umiano ocenić. Ten dźwięk nieoptymistyczny wywołała w duszy naszej nowa gwiazda muzyczna, panna Mira Hellerówna, z Rzeszowa, która olśniła wszystkich w hazardownym pierwszym debiucie w *Carmenie*. Dobrze przynajmniej, że ta nasza nowa kandydatka na *divę*, choć jest Polką, ale nosi nazwisko niemieckie,—los ją sam przeto uwalnia od przerabiania się na naczynie do napawania słuchu Europy...

Obok niezaprzeczonych zdobyczy na polu dramatycznem, mamy i straty do zaznaczenia. Stracił Lwów obu swych recenzentów teatralnych w kwiecie wieku; po Bolesławie Spauście, zmarł świeżo i Bolesław Czerwieński. Obaj byli żałowani przez prassę.

Wymagania ich od autorów były za wielkie, ale za to mieli aż nadto pobłażania dla samego teatru. Nowy kierunek wypadnie podobnie odwrotnie. Mogiły najczęściej szydzą z zabiegów całego naszego życia...

Erywal.

NAD PRZEPAŚCIĄ.

Przez

Czesława Pieniążka.

I.

Wspaniałe prawdziwie są okolice Drezna, czy w górę Łaby przez Loschwitz, Pillnitz, Pirnę, ku Saskiej Szwajcaryi, czy też ku Rabenau czy ku Miśnii, z biegiem wody. Bóg hojną dłonią rozsiał tu i wdzięk przyrody w falistych wzgórzach, pokrytych lasami, i grozę pustynną, w olbrzymich skałach, pełnych majestatu Boga i dzielności człowieka, który je przystroił w zamki, wille kościoły, miasteczka—wdrapał się na szczyty kamieni i zatknął na nich znamię swej cywilizacyi: pracę i sztukę, pożytek i piękno.

Tu, za owem Loschwitz, pamiętnem z pobytu Schillera a znanem znajpiękniejszych willi w całej okolicy Drezna, znajduje się wieś Wachwitz, a w niej urocza willa, zmieniająca co rok prawie właścicieli, którzy jej nigdy nie zamieszkują sami, a rzadko znajdują letnich lokatorów. Piętrowa, strojna w smukłą wieżę, z rozległym tarasem i kilku balkonami, o stylu dość banalnym, szablonowym, jak większa część pałacyków letnich tegoczesnych, wznosi się na stromej, skalistej górze, która od południa stacza się dość łagodnie ku brzegowi Łaby. Na tym południowym stoku góry rozciąga się rozległa i urodzajna winnica, do willi należąca; poza willą ku wschodowi ogród angielski, za nim warzywny; a od strony północnej, officyny, magazyn, łazienki letnie, wozownie i stajnie. Tuż za temi budynkami zaczyna się las szpilkowy, gęsty, zawsze wichrami grający. Od strony zachodniej piętrzy się skała, a w niej wykutych kilkadziesiąt schodów, od szosy do willi wiodących.

Widok ku stronie południowej uroczy, zachwycający. U stóp błyszczy Łaba: po niej uganiają się parowce, i pasażerskie, i towarowe; a że stacya tuż u stóp willi, więc statki ze środka rzeki skręcają dziobem ku patrzącemu, jakby go nęcić chciały ku sobie, wiążą się na chwilę z pomostem, odpoczną i znowu koła zawarczą, para zaszumi, dzwonek je w dalszą drogę błogosławi i woda kipi pianą pod kołami, statek wykręca się i pędzi ku Dreznu z pędem wody, lub pruje ją zwolna w stronę Saskiej Szwajcaryi.

Ku zachodowi rysuje się na błękicie kontur kopuły kościoła „Frauenkirche,“ wieża katedry katolickiej i szary pas Drezna, owej Florencyi niemieckiej. Wprost na południe nizina ozłocona zbożem, ujęta w zieloną ramę lasu; rozpruwają ją pociągi drogi żelaznej prazko-drezdeńskiej. Ku wschodowi czerwienieją ceglane dachy nadbrzeżnych wiosek, a zpoza nich wyglądają ku niebu wzgórza Pirny i wyższy od nich Königstein, z pamiętnym w historyi zamkiem, co i siedzibą królów bywał, i więzieniem, i twierdzą.

Wszędzie tu, w całej Saxonii, widoczne są ślady polskiej ręki. W pałacu królewskim w Pillnitz, portyer oprowadzając po ogrodzie, zwykł zagajać swe mowy słowami: „Jak *Polska do Saxonii należała*“ (!). Na „Neustadt“ August II ze spiżu spina się na koniu ku północy, czy aby pogrozić Karolowi XII zza grobu, czy może wyciąga rękę ku Piotrowi W. Galerya obrazów w Zwingerze przypomina, ile August III wyłożył z Polski płynącego grosza na te zbiory, któremi Niemcy chlubić się mogą. Katedra katolicka, związana galeryą z królewskim zamkiem, to świadek tej chwili, w której korona polska związała elektorów z kościołem. Na Friedrichstadt“ śród katolickiego cmentarza, ile tam polskich napisów na kamieniach, po części już rozwalonych! A pod temi kamieniami spoczął twórca „Wiesława,“ spoczęło wielu, co im tułactwo: czy pióro, czy szablę, wytrąciło z dłoni.

Dla tych, co na tułaczkę z kraju iść musieli, bywało Drezno pierwszą stacyą na pielgrzymiej drodze po Europie całej: to też nie dziw,

że tu Polakowi mniej obco, mniej zimno, niż w innych miastach niemieckich.

Było to w roku 1870. Wrzała wojna francuzko-niemiecka. Zbrojne tłumy Niemców, jak fale, przesuwały się zimne, spokojne, a groźne na zachód, ku Francyi. Wyludniły się miasta i wsie, tem więcej znać było cudzoziemców z całego świata, których tu nigdy nie braknie, a między nimi zwykle do liczniejszych należy polska kolonia. Pośród niej i ja się wówczas znalazłem, jak ptak przelotny. W ostatnich dniach Sierpnia, gdy już upajały się Niemcy zwycięztwami nad Francyą, patrzałem z Brülowskiego terrasu na Łabę, na wzgórzu Nowego Miasta, gdy myśl sprzeniewierzała się oku, porzucała je i pędziła na pobojowiska, na których ginęła nasza niegdyś sojusznica Francya. Dziwny dla niej mamy sentyment, jak dla wiarołomnej kochanki; zdradza nas, opuszcza, nawet kala nasze uczucia, a jednak nie możemy jej nie kochać. Tak było w r. 1870; dziś może wyrzuciliśmy ową miłość pomiędzy wspomnienia, lub złożyliśmy w zbiorze innych błędów politycznych. W Sierpniu 1870 r. niepodobna było nie krwawić sobie serca echem strasznych, niebywałych klęsk Francyi.

— O czem myślisz, Kaziu? — odezwał się głos za mną, a ręka spoczęła na mojem ramieniu.

— Józio! — zawołałem uradowany, zwracając się ku przybyłemu — a co to, to już więcej, niż niespodzianka.

— A dla mnie jaka miła, że ciebie widzę! Co tu robisz, chłopcze? Zabierałeś się przecie z takim zapędem do gospodarstwa, że myślałem, iż teraz zwozisz pszenicę; a ty sobie spacerujesz po brülowskim terrasie.

— Właśnie gospodarstwo mnie tu przygnało. Chciałem widzieć, jak to Niemcy cudownie sprzątają zbiory. Uczyć nam się od nich, i po to tu przyjechałem.

— Nadługo?

— Bez planu, byle widzieć jaknajwięcej. No, ale jakimże ty sposobem rozstałeś się z Zarudziem, ty gospodarz, domator, wróg wszelkich podróży? Gdzież pani twoja?

— Jesteśmy tu wszyscy, wszyscy, nawet Staś i Jadwinia z panią Milską, a skoro cię spotkałem, nie puszczę i do domu zaraz zabieram.

— Gdzież mieszkacie?

— W raju, powiadam ci, Kaziu, że w raju. Teraz dopiero pojmuję, że można wyrywać się z naszych sennych podlaskich równin, jeżeli się raz widziało Ren, Szwajcaryą, Drezno.

— Jakoś Pan Bóg na ciebie łaskawszy, niż na Adama. Pierwsi rodzice nawet Abla nie mogli mieć w raju, a ty masz ze sobą Stasia i Jadwisię. Ale gdzież ten raj wasz?

— Nie pytaj, tylko chodź.

Puściliśmy się żwawo terrasem ku schodom, potem kilka kroków naprawo i byliśmy w przystani. Statek miał właśnie odbijać, zdążyliśmy jeszcze na czas na pokład i za chwilę byliśmy na środku rzeki.

— Za nim przestąpię próg tego raju, powiedzcie mi, po co go tutaj aż szukać musiałeś, skoro przecież miałeś go w domu od lat siedmiu?

— Otóż właśnie, że go w domu już braknąć zaczynało—rzekł smutnie Józio.

— Nie pojmuję.

— I ja nie pojmowałem, martwiłem się, sposępniałem, ale dziś już wszystko zapomniane: rozwiały się chmury, pogoda jasna, złocista roztacza się nad naszym rajem.

— To ci tylko powinszować, że się chmury rozwiały; nie byłbym myślał, że się nad waszem niebem mogły były kiedykolwiek zgromadzić. Pobraliście się z gorącej miłości, żyjecie niespełna siedm lat z sobą: cóż u licha za wiatry napędzały wam chmury?

— Właściwie, widzisz, nic wielkiego. Anielka przyzwyczajona do miasta, do ruchu, do życia ożywionego, zaczęła się cokolwiek nudzić na wsi. Ja, zajęty gospodarstwem, nie bardzo wesołym jestem w domu towarzyszem; sąsiedztw mało, a i te, jakie są, dość odległe. Do miasta wyjeżdżamy rzadko, nie dziw też, że się Anielcia znudziła.

— Wszakże tyle można mieć zajęć na wsi koło domu, koło gospodarstwa, a przedewszystkiem koło dzieci...

— Ona, biedna, nie ma daru ani zamiłowania do takich zajęć. Na to już trzeba urodzić się gospodynią. Nie zechcesz chyba posądzić mnie, abym był zdolny zmuszać żonę do zajęć, w których nie znajduje upodobania. Sprawia mi to prawdziwą przyjemność, gdy ją wyręczać mogę i jednoczę w sobie zajęcie gospodarza i gospodyni. Ale co tam o tem! Dość, że porwałem Anielkę wraz z dziećmi i panią Milską, i pojechaliśmy do Szwajcaryi, nad Ren, a blizko od miesiąca jesteśmy tutaj. Włóczymy się tak od Maja. Anielcia projektowała, byśmy pojechali sami, bez dzieci, aby mogła więcej mieć swobody i odpoczynku, ale nie mogłem bez nich się obejść. Ufam Milskiej zupełnie, ale zostawić dzieci bez ojca, i matki przez kilka miesięcy, tegobym nie uczynił, a i zatęskniłbym za niemi już po tygodniu tak, żebym z drogi był wrócił. Uzyskałem wreszcie koncesyą od Anielci i jeździmy jak cyganie.

— Loschwitz! — zawołano na statku, dzwonek rozległ się w przystani, parowiec zakręcił się i otarł o pomost.

— Czy nie tu, Józefie?

— O, jeszcze dalej. Nie powiem ci nic, nie powiem; sam zobaczysz.

— Cóż robicie po całych dniach? Lękam się, by twojej pani nie znudził się pobyt dłuższy choćby w tych pięknych okolicach, ale bez żadnego stałego zajęcia, bez towarzystwa.

— Ho! ho! są zajęcia, jest towarzystwo. Jeździmy po okolicy; byliśmy w Pillnitz, zwiedzamy osobliwości Drezna, wkrótce wybierzemy się do Saskiej Szwajcaryi. Anielcia ożywiona, jak za dobrych czasów, wesoła, szczęśliwa. To też jakbym się odrodził. Zaczynało nieraz gorzko być w domu; już wkradało się we mnie podejrzenie, że Anielcia chyba kochać mnie przestała, taka była skwaszona, obojętna, zniechęcona. Sprowadzałem jej całe biblioteki książek: czytała, pochłaniała je, ale usposobienie się nie zmieniało. Już mnie to i niecierpliwić zaczęło, więc raz nuż Anielkę wyciągać jakby na spowiedź, aż wreszcie wyznała mi, że monotonność życia nudzi ją i męczy.

— Z miłości dla ciebie—rzekła do mnie—zagrzebałam się na wsi, zdala od świata, od ludzi. Taka sielanka wystarcza na rok, dwa, trzy lata, ale nie na lat siedm. Myślałem, że ci miłość dla to powie, iż zasłużyłam sobie na jakąś rozrywkę, bodaj na jakąś wycieczkę po Europie. Widzę, że milsze ci od żony folwarki, konie, pszenica, gorzelnia. Oto zapłata za miłość i poświęcenie. To rzekłszy, rozpłakała się biedna Anielcia i... w tydzień potem byliśmy już w Wiedniu na słynnym *feście* majówkowym w Praterze. Czegożeś się tak zamyślił, Kaziu? Co to? jakiś smętek na oczach? A fe! to ja się cieszę, żem spotkał przyjaciela, a i kuzyna, boć my przecież po ciotecznych braciach, a ty skrzywiłeś się, jakby ci księgosusz woły pozabijał.

— Ot, zdaje ci się. Zasłuchałem się w twem opowiadaniu...

— I to cię tak rozrzewniło?

— No, nie—jednak inaczej sobie wyobrażałem twoje szczęście małżeńskie.

— Ej, coż znowu? Ty bo jesteś idealista; chciałbyś, żeby kobieta była naprawdę aniołem.

— O nie; to już zbyt banalne, zbyt przestarzałe i zanadto romantyczne. Ja pragnę, by kobieta była tylko... kobietą, ale taką, ją Bóg mieć pragnął.

— Taką jest moja Anielcia, taką była i taką będzie.

— Czy ty się nudzisz w towarzystwie swej żony?

— Jakżeż mógłbyś przypuszczać?

— Jej towarzystwo ci wystarcza, bo ją kochasz; kobieta kochająca męża, nawet na Sybirze nie dozna nudów w jego towarzystwie.

Urwałem, spostrzegłszy, żem powiedział za wiele, a nie w porę; ale na szczęście i tego Józef nie słyszał, bo zobaczywszy zdala przystań, zerwał się z ławki i pobiegł ku ballustradzie parowca.

— Kaziu! zawołał, trzymając za poręcz drzwi balustrady, jakby się lękał, by go kto w wysiadaniu nie uprzedził. — Kaziu! już, już jesteśmy w domu. Oto widzisz mój raj na górze.

Zobaczyłem znaną mi już ową willę Wachwitz, wznoszącą się naprzeciw przystani. Zaledwie rzucono mostek na pokład, już byliśmy w przystani, a w kilka minut później pięliśmy się po owych kilkudziesięciu w skale wykutych schodach.

(Dalszy ciąg nastąpi).

Z DZIAŁU PRZYRODY

Kronika najnowszych wynalazków i odkryć naukowych.

Ulepszony fonograf. — Elektryczność organiczna. — Sztuczne rubiny. — Odlewy koronek, haftów i t. p.—Fenomen natury.— Sztuczne jaja.

Już przed dawniejszym czasem udało się znakomitemu amerykańskiemu fizykowi Edisonowi, wynaleźć przyrząd do przenoszenia głosu, który nazwał fonografem. Przyrząd ten jednakże pod wieloma względami okazał się niepraktycznym, a przedewszystkiem z tego względu, że jakkolwiek powtarzał mowę ludzką bardzo głośno, wyrazy były jakby bełkotane i niezawsze można było dosłuchać się w nich sensu. Był on bardzo prostej budowy. Obecnie skomplikowawszy swój apparat Edison udoskonalił go w ten sposób, że, wprawdzie głos wychodzi z niego cichy, ale za to zupełnie wyraźny. Odbieraczami głosu są małe cylindry z twardego wosku, które pocztą można przesyłać i stanowią, że się tak wyrazimy: „gadające listy,“ nie pozostaje bowiem jak włożyć go w swój fonograf, przyłożyć ucho do rury apparatu i korbę zakręcić, a usłyszymy mowę osoby, która nam cylinder przysłała.

Apparat ten, jak widzimy, nie przedstawia tej wygody co telefon, zapomocą którego, słyszymy głos mówiącego i natychmiast możemy dać odpowiedź. W każdym razie ma on doniosłe znaczenie, z tego względu, że przenosi głos na największe przestrzenie i zarazem go uwiecznia, tak, że można powtórzyć zapomocą tego cylindra głos i po upływie bardzo długiego czasu. Co to za rozkosz będzie dla naszych prawnuków i praprawnuków, gdy będą mogli słyszeć nasz głos wówczas, gdy my będziemy... Ale dajmy temu pokój!

Znalazło się bardzo wielu fizyków, którzy starali się zmodyfikować fonograf pierwotny Edisona, między nimi p. Summer Tainter, wspólnik Graham-Bell'a, wynalazcy telefonu. Dalej Irish'a tak zwany fonograf, Hunter'a fonograf, a szczególniej gramophon znanego fizyka Emila Berlinera w Washingtonie. Ten ostatni zastosował do swego apparatu płytę szklaną nasmarowaną massą drukarską i następnie poddaje ją działaniu silnego płomienia, skutkiem czego tworzy się lepka, równa powierzchnia. Mówiąc w apparat i temsamem wstrząsając znajdującą się tam błonę ta ostatnia zapomocą rylca umocowanego do jej przeciwległej powierzchni, wypisuje tajemnicze znaki na płycie posuwającej się zapomocą maszyny zagarowej. Z podobnej płyty można żądaną ilość fonogramów, zapomocą odlewów woskowych, sposobów galwanoplastycznych, fotochemicznych i stereotypowych utrwalać i przesyłać w żądane miejsca.

Oryginalnym jest pomysł wyuczania języków zapomocą tych „gadających listów.“ Gdyby naprzykład Toussaint-Langenscheida zechciał za ich pomocą wyuczać sposobu wymawiania języka francuzkiego lub angielskiego, mógłby to daleko lepiej uczynić, niżeli zapomocą swych książek drukowanych. Rozumie się, że każdy z uczniów musiałby posiadać fonograf, a przyjemność ta, jak tymczasem, jest dosyć drogą, kosztuje bowiem sto rubli z okładem.

* * *

Wiadomą jest rzeczą, że w organizmie człowieka, skutkiem ciągłej przemiany materyi, ja-

ka się w nim odbywa, a spowodowana sprawami fizycznej i chemicznej natury, wywiązuje się pewna ilość elektryczności, która niekiedy dochodzi takiego stopnia, że organizm przyciąga lub też odpycha pewne przedmioty, podobnie, jak to widzimy z żelazem, około którego po drucie przebiega strumień elektryczny. Otóż Ludwik Figuier w swym drugim tomie „Tajemnic nauki“ opisuje podobny fakt zauważony na młodej dziewczynie nazwiskiem Aniela Cottin. Pewnego dnia gdy Aniela z kilkoma towarzyszkami przędła sieć jedwabną przy stole dębowym, ten zaczął się chwiać i poruszać na wszystkie strony i to z taką siłą, że go niepodobna było utrzymać na miejscu. Gdy Aniela się oddaliła, a zasiadły tylko jej towarzyszki, stół pozostawał nieporuszonym. Podobne zjawiska powtarzały się pod różnemi postaciami; przedmioty takie, jak łopatki, szczypce, szczotki, nożyczki, odskakiwały gdy ich dotknęły suknie dziewczyny. Gdy chciała usiąść, stołek odsuwał się gwałtownie, tak, że niepodobna go było utrzymać; pracować igłą nie mogła, gdyż wbijała jej się w ciało głęboko. Zjawiska podobne odbywały się codziennie wobec wiarogodnych świadków: proboszcza, lekarzy i innych. Zaopiniowano, iż jest to spotęgowanie siły elektrycznej, podobne do tej, jaka istnieje w machinie elektrycznej, objawiającej się przyciąganiem i odpychaniem.

Zawieziono dziewczynę do Paryża, gdzie w kole uczonych stwierdzono, że ciało Anieli Cottin doznawało silnego wstrząśnienia, gdy zbliżano do niej biegun północny magnesu, tymczasem południowy nie wywierał żadnego wpływu. Franciszek Arago, znajdujący się między nimi, zażądał od Akademii Umiejętności wyznaczenia kommissyi dla zbadania tego szczególnego stanu.

Raport jednakże Akademii zaprzeczył wszystkim wymienionym objawom. Skutkiem tego Figuier dodaje, że albo dziewczyna pod wpływem wrażenia, jakie na nią wywarło gremialne badanie, przestała oddziaływać na przedmioty, albo też zaprzeczono z zasady, aby temu, czego niepodobna naukowo wytłómaczyć, racyi bytu nieprzyznawać.

(Dokończenie nastąpi).

Z BIEŻĄCEJ CHWILI.

— **Budowa kościoła na Pradze**, rozpoczęta została. Dnia 10 bieżącego miesiąca, zaczęto kopać ziemię na fundamenta.

— **Sympatyczny gość** przybył do Warszawy z Monachium: Jan Rosen, utalentowany malarz bitew. Obraz, nad którym ostatecznie pracował: *Przegląd wojska na Saskim Placu*, jest już podobno ukończonym.

— **Konkurs Lutni** został rozstrzygniętym. Nagrodę: pięć dukatów w złocie, przyznano chórowi: *Straż nad Wartą*. Twórcą tej kompozycyi jest p. Michał Hertz.

— **Muzeum etnograficzne** w Bagateli zostało otwarte d. 16 Kwietnia. Mieści ono cenne zbiory zoologiczne, botaniczne i mineralogiczne; w zbiorze etnograficznym zaznaczają się wartością i oryginalnością swoją dary uczonego prof. Benedykta Dybowskiego z Syberyi, oraz z Afryki pochodzące przedmioty, ofiarowane muzeum przez podróżnika Janikowskiego Muzeum otrzymało świeżo rzadki zbiór *pisanek* albo *kraszanek*, to jest jaj malowanych, używanych przez lud wieśniaczy przy święconem wielkanocnem. Zbiór ten liczy przeszło 1,500 sztuk.

— **Wystawa inwentarza** na Polach Ujazdowskich, otwartą zostanie d. 9 Czerwca, a trwać będzie do 19 Czerwc. Zapisy i deklaracye przesyłają się komissyi wystawowej za pośrednictwem Dyrekcyi Towarzystwa Wyścigów Konnych. Czas ich oznaczonym jest do d. 15 Maja.

— **Wystawa gospodarska** odbędzie się w jesieni b., r., w Kijowie. Przedmiotami wystawowemi są: chmiel, owoce, miód i jedwab, tytuń, nabiał i warzywa. Rozciąga się ona i do prowincyi naszych.

— **Wystawa geograficzno - przyrodnicza we Lwowie**, urządzona przez wydział gospodarczy V zjazdu lekarzy i przyrodników, odbędzie się w połowie Lipca b. r. Na przewodniczącego komitetowi, który ma wystawę urządzić, obranym został znany podróżnik i professor lwowskiego uniwesytetu Dr Rehman. Wystawa geograficzna będzie obejmowała: 1) Zbiór najlepszych mapp i atlasów. 2) Najnowsze podręczniki geograficzne bez względu na ich język. 3) Przyrządy służące do nauczania geografii, 4) Metodyczne prace nauczycieli i uczniów, zwłaszcza z zakresu kartografii.

— **Katalog Biblioteki** Kraszewskiego nareszcie wykończonym został i przygotowanym do druku, który włącznie z korektą trwać musi przeszło miesiąc. Ceny jeszcze stanowczo podać nie można; katalog wykazał przeszło 30,000 tomów, wszystko dzieł bardzo cennych.

— **Towarzystwo Tatrzańskie**, którego siedzibą jest Kraków, wzywa osoby, chcące nabywać akcye 1,000-guldenowe na kupno Zakopanego, aby się doń zgłaszały. Jeżeli po dzień 1-go Maja będzie nabytych 200 akcyi, Towarzystwo stanie do powtórnej licytacyi.

— **Spójnia**, zawiązane w Paryżu towarzystwo wzajemnej pomocy kształcącej się tam młodzieży polskiej, mężczyzn i kobiet, ma za cel wspieranie się wzajemne w interessie studyów odbywanych. Między członkami honorowymi znajduje się Zygmunt Miłkowski, (Jeż) Dr Zygmunt Kramsztyk, p. Anna Bielińska.

— **Zygmunt Wróblewski**, professor fizyki doświadczalnej na uniwersytecie Jagielońskim w Krakowie, umarł d. 16 Kwietnia z poparzenia przy doświadczeniach naukowych, licząc zaledwie 42 lat wieku. Urodzony w Grodnie 1845 r., po skończeniu studyi udał się za granicę i na uniwersytecie strasburskim wykładał fizykę, jako docent. Za pracę nad skraplaniem gazów został mianowany członkiem honorowym Akademii Wiedeńskiej i otrzymał nagrodę Baumgartena 1,000 florenów. W 1882 objął katedrę fizyki w Krakowie, gdzie padł jak żołnierz na stanowisku swoim, przy pracy nad nauką.

Pogrzeb odbyty dnia 18 Kwietnia był też wielkim wyrazem czci dla uczonego i człowieka. Odziany togą professorską, spoczywał najpierw zmarły w dolnej sali *Collegium phisicum* wśród świateł i zieleni, młodzież akademicka trzymała straż przy zwłokach, a potem porządek przy pogrzebie i w czasie nabożeństwa, które odbyło się w dzień wyprowadzenia zwłok przy ciele o godzinie 10-ej rano, a na którym wszyscy profesorowie wszechnicy jagielońskiej znajdowali się w togach. Rektor uniwersytetu złożył imieniem senatu uniwersyteckiego wieniec, jakich było wiele z miast różnych i z Warszawy między innymi. Za trumną niesiono przecież wyższy nad wszystkie inne wieniec dębowy zasługi obywatelskiej. Nad grobem nastąpiła rzadka i wyjątkowo tylko spełniania ceremonia: pochylenie bereł akademickich. Przed wyniesieniem zwłok, które wzięła na barki swoje młodzież akademicka, przemawiał w imieniu Akademii Umiejętności jej zacny, sędziwy rektor, Józef Majer. Kondukt, ruszywszy z kaplicy Ś-tej Anny rozwinął się i sformował na Rynku i ciągnął ulicami Florjańską, Basztową, Lubicz, Rakowiecką, wzdłuż których paliły się z rozkazu magistratu wszystkie latarnie miejskie, okryte czarną gazą i ubrane żałobnemi kokardami,

Akademicy nieśli kilkadziesiąt pochodni otaczając tych, z pomiędzy siebie, którzy szli, niosąc wieńce z długiemi szarfami obok tego bedele uniwersyteccy postępowali z insygniami i berłem akademickiem. Tłum publiczności był ogromny. U grobu przemawiał w imieniu uniwersytetu prof. Rostafiński, w imieniu akademików Jaworski, od uczniów zmarłego Michalik, od uniwersytetu lwowskiego prof. Stanecki, który przywiózł wieniec na trumnę.

Mowa szanownego rektora Majera miana przy zwłokach, rozrzewniała szczególniej słuchaczy, bo rozrzewnieniu temu uległ i sędziwy mówca.

Należy dodać, że tuż za trumną szła rodzina zmarłego. Śpiewał chór akademicki a głosy jego były spotęgowane przez współudział chóru stowarzyszenia gimnastycznego i rzemieślniczego, razem całość była tak wspaniałą, że równać ją można z pogrzebem Kraszewskiego. Mówiono z żalem bolesnym, że zmarły byłby dosięgnął wyższej chwały, gdydy nie brak środków materyalnych na kosztowne doświadczenia. Mimo to zajmie on miejsce w dziejach nauki nowoczesnej.

— **Hulaj dusza**! sztuka ludowa, napisana przez p. Adolfa Walewskiego, artystę teatru lwowskiego, cieszy się na scenie tamtejszej rzadkiem powodzeniem. Jest to legenda o Twardowskim, zużytkowana dla sceny w sposób oryginalny i sympatyczny. Twardowski, szlachcic *hulaj dusza*, nie cofający się nigdy przed bitką i wypitką, gotów w chwili każdej mierzyć się choćby z dyabłem samym, zostaje rannym w bitwie z Tatarami, a uśpiony jakimś zielem narkotycznem przez babę lekarkę, marzy gorączkowo i w śnie tym przebywa rozmaite przygody, wśród których przedaje duszę dyabłu za wiedzę, sławę i bogactwo. Cała fantastyczna legenda o Twardowskim według baśni ludowej i jej obrobienia w literaturze, odgrywa się na scenie, a swojski koloryt tej fantasmagoryi, pewna poetyczność, złączona z gorącą miłością rzeczy swoich, przytem bardzo miła muzyczka Urbanka, nauczyciela wiejskiego, z motywów ludowych, zapewniają sztuce wyjątkowe powzdzenie.

— **Edward Jelinek** dobrze Warszawie znany i ceniony literat czeski, wydał książkę: *Kobiety dawnych salonów polskich*. Znajdują się tam obrazy z życia księżnej Łowickiej, Maryi z książąt Czartoryskich księżny Wirtemberskiej, Klaudyny Potockiej i innych. Pisane to jest z dokładną znajomością rzeczy i z przychylnością dla społeczeństwa nasego.

— **Wacław Brożik** utalentowany malarz czeski, którego obraz wielkich rozmiarów: *Hus przed sądem*, Warszawa oglądała w murach swoich, otrzymał austryacki medal zasługi, udzielany za odznaczanie się w sztuce i literaturze. Matejko jest nim również ozdobiony.

Do dzisiejszego numeru *Bluszczu* dołącza się Arkusz 1-szy powieści pod tytułem: **Wybór Aliny**, przez Mrs. Alexander.

TREŚĆ: **Życie i praca**, (dalszy ciąg), przez Samuela Smilesa.—**Na starym gruncie**, powieść, (dalszy ciąg), przez M. Febroniusza.—**Przegląd teatralny**, przez St. Krzemińskiego. — **Echa Lwowskie**. — **Nad przepaścią**, przez Czesława Pieniążka. — **Z działu przyrody**, przez J. S. — **Z bieżącej chwili**.

Dodatek obejmuje Arkusz 1-szy powieści pod tytułem: **Wybór Aliny**, przez Mrs. Alexander. — **Przegląd mód**. — 23 wzorów ubiorów i robót z opisem.—**Sekreta gospodarskie**.— Dyspozycya stołu.

Warszawa.—Druk S. Orgelbranda Synów, Krakowskie-Przedmieście Nr 66. Redaktor odpowiedzialny Michał Glücksberg

Дозволено Цензурою—Варшава 13 Апрѣля 1888 года.